

VICTORIAN

Virginia
Feito

PSYCHO

przełożyła Urszula Gardner



VICTORIAN

Virginia
Feito

PSYCHO

Przełożyła Urszula Gardner



TYTUŁ ORYGINAŁU:

Victorian Psycho

Redaktorka prowadząca: Marta Budnik

Wydawcy: Monika Rossiter, Wojciech Ciuraj

Redakcja: Bożena Sęk

Korekta: Małgorzata Denys

Projekt okładki: Agata Łuksza

Obraz na okładce i elementy wykorzystane na brzegach:

Louis-André-Gabriel Bouchet. *Retrato de madame H. y sus hijos.*

Seattle Art Museum

Wyklejka: © Saiyood / Stock.Adobe.com

DTP: pagegraph.pl

VICTORIAN PSYCHO

Copyright © 2025 by Virginia Feito

By arrangement with the Author. All rights reserved.

Copyright © 2026 for the Polish edition by Mova an imprint
of Wydawnictwo Kobieta Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Urszula Gardner, 2026

Wymyki z Pisma Świętego za Biblią Jakuba Wujka.

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2026

ISBN 978-83-8417-403-6


Grupa Wydawnictwo Kobieta | www.WydawnictwoKobieta.pl





W ciągu trzech miesięcy wszyscy w tym domu będą martwi.

PROLOG

mierć wszędzie. Śmierć w rzece, w ciałach pływających z prądem, w brzuchach stworzeń uczujących na nich. Śmierć w wodzie pitnej, wlewająca się do studni i rozlewająca w wieśniakach jako tyfus, cholera i dyfteryt. Śmierć na pokaz za dodatkowego pensa w muzeum figur woskowych. W perukach żyjących zrobionych z włosów martwych, przez przedsiębiorczych właścicieli zakładów pogrzebowych zgolonych z głów zwłok w zamkniętych trumnach. Śmierć roztopiająca się w barwionej bożonarodzeniowej świecy. Śmierć w dzieciach, och, w iluż to dzieciach – nieochrzczonych wsuwanych do trumien innych w oszukańczej gonitwie za własnym grobem, w charakterze funeralnych poduszek dla zmarłych. Śmierć w szczurzych dołach po piwnicach pubów, gdzie psy rozszarpują setki ciałek przy akompaniamencie zachęt swoich panów stawiających zakłady.

Wkruszona do farby.

Przyklejona do ścian.

Wszędzie śmierć.




Pan Pounds to tajemnica, którą zamierzam rozwikłać.

CZEŚĆ I

TRZY MIESIĄCE
PRZED BOŻYM NARODZENIEM

ROZDZIAŁ I

W KTÓRYM POJAWIAM SIĘ
W ENSOR HOUSE

nsor House* przycupnął na wrzosowisku z uniesionymi brwiami i podwójnym podbródkiem jak u zafrasowanego bankiera, który zaraz przekaże złą nowinę.

Napotykam jego wielodzielne spojrzenie z otwartego fasetonu, tocząc się wśród wrzosów ku swojemu przeznaczeniu z biustem podrygującym w gorsecie.

– Ensor House jest tam, o... – mówi i pokazuje brodą siedzący obok mnie woźnica, jeden ze służących pana

* Ensor House – jak niemal wszystkie nazwy własne w niniejszej książce, i ta jest nazwą znaczącą, przy czym możliwe są różne konotacje; podstawa dotyczy osoby Jamesa Ensora (1869–1949), belgijskiego malarza, który rozwinął własny groteskowy styl; inna wiąże się z nazwą miejscowości Edensor (Endser, Endsor, Enser); wreszcie można mówić o skojarzeniu z czasownikiem *ensorcell*, oznaczającym „oczarować, rzucić czar, rzucić urok” (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

Poundsa* oddelegowany na dworzec Grim Wolds** celem odebrania z pociągu nowej guwernantki.

Mój wzrok pada na aksamitny zad konia przede mną, następnie na samego woźnicę o obliczu poznaczonym kraterami blizn po ospie i z wielkim nosem opadającym jak wole. Mimo że dopiero się poznaliśmy, wyczuwam dekadencją powolność za jego pustymi oczami. W półotwartych ustach sterczy samotny wystający ząb.

– Dobrze znasz państwa? – decyduję się zadać pytanie.

– E.

Nie mając pewności, co przez to rozumie, naciskam.

– Jacy oni są?

Odpowiada tylko:

– Miewałem gorszych.

Obiecujący początek. Obserwując ponury krajobraz, bezwiednie poruszam zuchwą. Dzień chyli się ku końcowi, chmury migoczą, jakby paliły się w nich świece. W powietrzu czuć deszcz ze śniegiem – maleńkie rączki dzierzące maleńkie ostrza sieką ludzkie dłonie i twarze. Faeton telepie się po nierównym gruncie, a jego nieproporcjonalnie duże wykrzywione koła sprawiają, że dwoje podróżnych skłania się ku sobie. Woźnica klepie mnie po udzie jedną odmrożoną ręką, podczas gdy drugą mocno trzyma popękane skórzane lejce.

* Pan Pounds (Mr Pounds) – rzeczownik pospolity *pound* oznacza „funt”, jednostkę monetarną oraz jednostkę wagi.

** Grim Wolds – nazwa znacząca, dosł. Ponure Wyżyny.

Domyślam się, że w oczach moich nowych mocodawców wysłanie po mnie większego, a do tego zamkniętego powozu w pierwszy dzień byłoby ekstrawagancją, która ocierałaby się o luksus. Z pewnością nie chcą, abym zaczęła coś sobie roić w głowie.

Zerkam na podolek. Dłoń woźnicy wciąż tam jest. Oglądam się na swój багаż, który podskakuje z tyłu, ze złożonymi inicjałami słabo widocznymi na steranej skórze.

Gdy wreszcie koń zatrzymuje się przed bramą i zwiesza łeb w wyrazie porażki, jak się zdaje, zgrzybiały woźnica zeskakuje na ziemię z zadziwiającym wigorem i unosi rygiel, by zaraz z chrzęstem żwiru odsunąć na boki skrzydła żelaznej bramy. Mijamy rozpadające się kamienne kolumny i przedostajemy się na podjazd.

Woźnica zatrzymuje faeton w pewnym oddaleniu od budynku, ale nic nie mówi. Rozumiejąc, że powinnam teraz wysiąść, robię to zwinnie, przy okazji zadzierając wysoko suknię. Trzewiki lądują w błocie z chlupotem podobnym do tego, z jakim zgniata się flaki w garści.

Kłania mi się krzywe drzewo o liściach z zaczerwienionymi żywo samymi koniuszkami. Plamy bluszczu okalają górne okna – z jednego z nich wyziera na mnie kobieta o surowym spojrzeniu.

Główne wejście przyzywa zza łachy przebiśniegów, które przywodzą na myśl grupę kobiet o schylonych w wyrazie szacunku głowach nakrytych czepkami. Zamiatam po nich spódnicami niczym kosą, zbliżając się do ówiekowanych drewnianych drzwi.

Jest wczesna jesień, chłód dopiero się zaczyna, a w ciągu trzech miesięcy wszyscy w tym domu będą martwi.

OCHMISTRZYNI, PANI ABLE*, wita mnie w hallu, tupiąc nogą o kamienną płytę. Oczywiście nie jest zameżna, a jej tytuł idzie tylko w parze z pełnią funkcją. Lewe oko ma wędrujące, przez co żałuję, że nie posiadam kompasu, który pomógłby mi ustalić, w jakim głównie kierunku ono spogląda.

Ochmistrzydni oczyszcza krtań chrząknięciem.

– Spodziewam się, że miałaś dobrą podróż. Jest zimno, ale będzie zimniej – mówi tak albo podobnie. Głos ma nużąc monotony.

Nachylam się, aby rozróżnić słowa, które mamrocze, jakby nie mogła się ich pozbyć z ust.

– Zimno mi niestraszne – odpowiadam.

Jedno z jej oczu spoczywa na mojej sukni. Przypuszczam, że ten widok raczej ją przygnębia, gdyż jej usta zaciskają się w wąską kreskę.

– Pokażę ci twój pokój – obwieszcza, po czym obie zagłębiamy się we wnętrze domu.

W wystroju dominuje ciemny dąb, grube tureckie dywany i kotary najczarniejsze z czarnych. Ledwie widzę własną dłoń na balustradzie okazałych schodów, gdy wspinamy się na długą galerię z licznymi pozamykanymi drzwiami, za którymi schowane są sypialnie.

* Pani Able (Mrs Able) – przymiotnik *able* oznacza „zdolny, zręczny”.

– Ensor House pamięta czasy średniowiecza. – Ochmistrzyni mamrocze głosem przepojonym dumą. – Kolejne pokolenia rozbudowywały go przez stulecia... – Jest do mnie na wpeł odwrócona, jak gdyby obawiała się mieć mnie za plecami. Wzdłuż szyi biegnie jej wydatna żyła nikażąca za kołnierzykiem. – Kazałam dla ciebie przygotować mniejsze pomieszczenie na tyłach – dodaje – założysz, że wzgardzisz zbędną wystawnością większych frontalnych komnat.

– Oczywiście – zapewniam pośpiesznie. Umiłowanie zbytku i nadmierne sobie folgowanie wskazuje na pewien stopień moralnego upadku, który nie przystoi guvernantce.

Mijamy rzeczony frontalny komnaty i bierzemy ostry zakręt, by dostać się w ciasnawy, wyłożony kamiennymi płytami korytarzyk odchodzący od głównej galerii. Tamże ochmistrzyni otwiera niewysokie pojedyncze drzwi i czyni zapraszający gest. Wchodząc do środka, zahaczam spódnicą o jej opuszczoną wiotką dłoń, którą natychmiast cofa. Dochodzę do wniosku, że ta ręka nigdy nie trzymała członka.

– Na dole w jadalni oczekują cię moi i twoi mocodawcy – oznajmia ochmistrzyni, nie przekroczywszy progu.

Przelotnie wspominam swoich ostatnich mocodawców. Ich nadąsane spojrzenia. Ich czyste paznokcie. Ich tajemnice ukryte za jedwabnymi chusteczkami, pod surdutami o aksamitnych wyłogach i w fałdach kotar zabarwionych purpurą tyryjską.

– Nasz mocodawca... – napomykam, zdejmując kraciatą pelerynę. – Czy można go nazwać łaskawym?

– Dobry pan z niego – stwierdza ochmistrzyni, aczkolwiek wyczuwam w jej tonie coś jak delikatne wahanie, dostrzegam unik w spojrzeniu kierowanym nieznacznie poniżej linii mojego wzroku.

Ochmistrzyni zostawia mnie samą, przypomniawszy raz jeszcze, że powinnam zejść na kolację bez zbędnej zwłoki. Zamykam za nią drzwi, po czym obracam się, aby zlustrować wnętrze odtąd mojej sypialni. Urządzona także w ciemnym dębie i z ciężkimi kotarami zdaje się nawet trudniejsza do podpalenia niż poprzednia, którą zajmowałam.

Podchodzę do okna i spoglądam na północno-wschodnią część ogrodu, teraz skąpaną w gasnącym blasku dnia. Bez wątpienia jest to najbrzydszy widok z Ensor House, lecz zarazem znacznie ładniejszy od tego, który mogłam podziwiać z własnego pokoju dziecięcego o oknach wychodzących na przykościelny cmentarz, szczerzący się szarymi, poukruszonymi i chwiejącymi się nagrobkami na podobieństwo wnętrza ust starca.


Poczuwszy na sobie spojrzenie, oblekam twarz w uśmiech i obracam się wyczekująco, jednakże napotykam tylko odbicie swoich oczu w owalnym lustrze wiszącym nad stojakiem z miednicą: są jak dwie dziury po kulach. Przyklejony poniżej nich grymas sprawia wrażenie nieszczerego.

Schylam się i unoszę pokrywę nocnika, spodziewając się zobaczyć nieczystości swojej poprzedniczki, lecz ku mojemu zaskoczeniu naczynie jest czyste.

Na wniesienie bagażu przyjdzie mi jeszcze zaczekać. Spluwam lekko na dłoń i w ten sposób przylizuję rozburzone wiatrem włosy, a także ścieram smuzkę brudu z policzka. Tylko na tyle mnie stać, jeśli chodzi o doprowadzenie się do porządku w tej chwili. Jestem gotowa na spotkanie z moimi mocodawcami.

ROZDZIAŁ II

W KTÓRYM POZNAJĘ SWOICH MOCODAWCÓW
I NIE JESTEM POD ICH SPECJALNYM WRAŻENIEM

 adalnia może się pochwalić zdobnym kasetonowym sufitem z orzecha oraz wiszącym nad kredensem imponujących rozmiarów obrazem Rembrandta, który ukazuje obdarte ze skóry truchło – gwoli ścisłości to *Rozplataný wól*, a raczej jego kopia namalowana przez jednego z uczniów mistrza.

Państwo zasiadają na jednym końcu stołu, który jest dłuższy niż wieloryb, podczas gdy mnie spotyka zesłanie na przeciwny kraniec, co czyni dzielący nas dystans absurdalnie, niemal komicznie dużym. Kiedy mrużąc oczy, starają mi się przyjrzeć między świecznikami, wiercę się na krześle w pozornej próbie pokazania swojej sylwetki, a w rzeczywistości osiągam wręcz odwrotny skutek.

Pan spogląda na panią w oczekiwaniu na instrukcje. Gdy ona unosi brwi, on decyduje się wreszcie rzucić w odmętę konwersacji.

– Ufam, że podróż upłynęła ci miło?

– Nie – odpowiadam tonem tak radosnym i z tak szerokim uśmiechem na twarzy, że pan tylko kiwa głową i kwituje:

– Doskonale.

Uznawszy, że pierwsze lody zostały przełamane, do rozmowy włącza się pani.

– W swoim ogłoszeniu wspomniałaś, że twój ojciec jest duchownym.

– Tak – potwierdzam. Wielebny nie jest moim, by tak rzec, rodzonym ojcem, ale raczej jego zastępnikiem, choć po tylu latach przywykłam nazywać go właśnie w ten sposób. – Mam ojca pastora.

– A twoja matka?

– Nie żyje od dziesięciu lat – odpowiadam, wyobrażając sobie zęby matki uśmiechającej się do mnie z łóżka.

– Co za strata – ubolewa pani. – Obecność matki w domu jest kluczowa. W przeciwnym razie kto wpoi dzieciom poczucie moralności i delikatność?

Biję się z myślami, aby powiedzieć coś odpowiedniego do sytuacji.

– Cóż, choćby guwernantka, jak przypuszczam – wtrąca pan z sardonicznym śmiechem dobywającym się z głębi gardła. – Zwłaszcza że za to jej płacę.

– Tak – podchwytuje pani, przechylając głowę, dzięki czemu blask świec odbija się w jej szarych oczach, upodabniając je do mokrych otoczków. – Mamy nadzieję, że wykażesz się lepszym charakterem od swojej poprzedniczki. Niewdzięcznica... Zniknęła bez śladu.

– Wystarczy już o niej – przerywa pan. – Mam dość słuchania i mówienia na jej temat. – Nad stołem zapada cisza, gdy pan sięga po szary stek wołowy. – A zatem, Winifredo, przyjechałaś – dodaje, czerpiąc otuchę z faktów.

– Tak.

– I to aż z Hopefernon*.

– Tak.

– To raczej niewielka miejscowość, Hopefernon, prawda? – dopytuje. – Co można tam robić?

– Dużo tańczymy – rzucam ponuro.

Pan rzuca mi ostre spojrzenie, na jego czole tworzy się płytka zmarszczka (przy czym czoło, muszę zauważyć, jest wysokie).

– To żart? – pyta zniesmaczony.

– Tak.

– Czy to nie w Hopefernon odkryto te wszystkie pomordowane niemowlęta? – wtrąca pani.

Nie jest niczym niezwykłym, że osoba, z którą rozmawiam, w obliczu wzmianki o Hopefernon odnosi się do pomordowanych niemowląt. Pisano o nich w gazetach. Straszna sprawa. (Pięcioro było zakopanych w nieoznakowanych grobach, szóste znaleziono w wychodku).

– Grim Wolds to porządna miejscowość – zapewnia pan, zanim zdążę zareagować. Mówiąc, wysysa z ziemniaków mięsny sos. – Mieszkańcy Ensor House od wieków jej

* Hopefernon – od: *hope for none*, co oznacza tyle co „beznadzieja”.

przewodzą. I właśnie tę ich siłę, tę niezłomną tradycję powinniśmy wpoić naszym dzieciom.

– Owszem, ale nie będziemy tolerować pod tym dachem żadnego rodzaju kar cielesnych – uściśla prędko pani.

Kiwam głową. Ostatnio zapanowała moda na niebieskie dzieci.

– Właściwie wolelibyśmy, żebyś w ogóle nie dotykała naszych dzieci – dodaje pani po chwili namysłu.

– Obiecuję, że nawet nie spojrzę na nie – mówię pogodnie. Moje ogłoszenie na łamach „Timesa” obiecywało, że jestem zgodnego charakteru.

– Wi... – Pan macha w moją stronę ręką i cmoka, jakby to, że zapomniał mojego imienia, było gafą.

– Winifredo – podpowiadam. – Nazywam się Winifreda Notty*.

W tym miejscu puszczam oko do ciebie, Czytelniku. Właśnie się poznaliśmy jak należy.

– Winifredo, jesteś kobietą uczoną – zaczyna pan, po czym się krzywi, jakby te słowa zostały na jego języku gorzki posmak. – To znaczy... Umiesz czytać i pisać.

W odpowiedzi uśmiecham się tylko kokieteryjnie.

– Azali jest ci znana teoria frenologii? Nauki o umyśle? Bo muszę przyznać, że sam jestem jej gorliwym wyznawcą.

– Nic, tylko frenologia i frenologia – mamrocze pani do filiżanki z herbatą. – O niczym innym ostatnio nie słyszę.

* Notty – od: *naughty*, co oznacza „niesforna, nieprzyzwoita”.

– Wystarczy niewielka opłata, by dokonać pomiarów czaszki – kontynuuje pan – co jest najpewniejszym sposobem na ocenę inteligencji i moralności. Osobiście poddałem się badaniu kilka miesięcy temu, i to z rąk samego Reginalda Battersona*, najznamienitszego...

– Czy najznamienitszy nie jest przypadkiem Lorenzo Fowler? – pyta pani.

– Masz coś na twarzy, kochanie – mówi pan.

Pani zaczyna się klepać po policzkach, podczas gdy pan podejmuje:

– Tak jak wspomniałem, tylko za sprawą tejże pouczającej nauki możemy ocenić zawartość naszego umysłu, naszej duszy...

Wyobrażam sobie własną duszę, która pod postacią skrzepłego szarego szlamu opuszcza moje ciało otworem pomiędzy nogami, zostawiając na dywanie śluzowaty ślad, by następnie pełznącym ruchem pokonać jadalnię i obejrzeć kolejno zastawę z malowanym ręcznie herbem z motywem dzika, obraz z wołem, spoconego lokaja, który gapi się prosto przed siebie, jak gdyby był ślepcem. Nareszcie wślizguje się na ścianę i wije po niej, by w końcu przycisnąć pozbawioną rysów twarz do okna z widokiem na szpalet czerwonych buków.

– Czy to dlatego nie chciałeś zaprosić mojej kuzynki Margaret minionej wiosny?

* Batterson – od *batter*, co oznacza „uderzać, bić, walić”.

– Twoja kuzynka ma istotnie niezwykle mało interesującą głowę – nie wytrzymał pan. – Kapryśną i płochą.

– Doprawdy, John.

– To nie moja opinia, tylko nauki.

Moja dusza zwraca swą zwarzoną, cuchnącą głowę w naszą stronę i mówi:

– Wierzę, że będę tu bardzo szczęśliwa.

Pan mruży oczy jeszcze bardziej, żeby mi się przyjrzeć z wielkiej odległości.

– Twoja czaszka wygląda obiecująco, Winifredo. Czoło masz szerokie, z pewnością mieszczące organa szczodropliwości.

Kiwam uroczyście głową.

– Niewypowiedzianej szczodropliwości, w rzeczy samej.

Rozplątany wół z obrazu wisi podczepiony za tylne nogi u powały, z podkreślonymi techniką impastową lśniącymi mięśniami i gęstniejącym tłuszczem. Pan tropi moje spojrzenie oczami przepelnionymi dumą.

– Mam nadzieję, że ta praca nie jest ci niemiła – mówi tonem jasno wskazującym, że w istocie właśnie tego by sobie życzył. – Precyzja anatomiczna artysty robi wrażenie, zgodzisz się ze mną?

– O tak, wielkie – potwierdzam, na co pani zaciska usta.

Pan szczyrzy zęby, wśród których rzuca się w oczy szczególnie pożółkły kieł odbijający blask kandelabru, i podsumowuje:

– Jesteśmy pewni, że twoje zatrudnienie tutaj przyniesie same korzyści.

GDY WRACAM DO SWOJEJ SYPIALNI, w palenisku płonie wątlą ogień. Bagaż został już wniesiony na górę i stoi pod ścianą wciąż obwiązany sznurkiem, co niechybnie jest znakiem od służby, że był nieruszany. Rozplątuje węzeł i wsuwam rękę do środka, pragnąc się utwierdzić co do obecności mojego najcenniejszego dobytku: kosmyków włosów dawno nieżyjących bliskich, maminej broszy, listów ojcowskich.

W dzieciństwie matka zabierała mnie na cmentarz parafialny we wschodnim Londynie, pokazywała tam płytę nagrobną i mówiła: „Tu leży twój ojciec”. Dopiero gdy nauczyłam się czytać, odkryłam, że grób należał do niejakiej Ilsy Haynes, która wyzionęła ducha dobre dziesięć lat przed moimi narodzinami.

Od czasu do czasu, gdy coś ją naszło, matka opowiadała o ojcu. „Lubił się tak ubierać”, rzucała głuchym tonem, kiedyśmy mijaly witrynę krawca. Albo: „Twój ojciec też lubił ten kolor”, kiedy pokazywałam jej błękitne niebo. Ponieważ używała czasu przeszłego, nie wiedziałam, czy nie żyje, czy raczej przestał lubić te rzeczy.

Miałam mniej więcej sześć lat, gdy matka – udając szacowną wdowę – przeniosła się do Hopefernon i wyszła za pastora, któremu wcześniej zaoferowano dożywotnio parafię na tym końcu świata, gdzie nie mógłby się czuć bardziej samotny. Wieś składała się z garstki domów wzniesionych z czarnego kamienia i rozrzuconych nieregularnie na zboczach wzgórza oraz z nadmiaru uliczek, z których znaczna część prowadziła donikąd. Z ceremonii zaślubin pamiętam niewiele, jeśli nie liczyć leżącego na kościelnych stopniach

zasuszonego martwego kaczątka, które matka podczas wchodzenia zmiotła rąbkiem sukni.

Na plebanii hulaly przeciagi, ale robiło się tam też nieprzyjemnie duszno, ilekroć rozpalano ogień. Miejsce to było zarazem zagracone i ziejące pustką, a główny hall miał ściany pomalowane na gołąbkowo i posadzkę z piaskowca. Paleta barw zdawała się przygaszona, wyblakła, ziemista – zaczynając od odłóżającej tapety, a kończąc na grzbietach książek z cielejącej skóry – a jedyną plamą koloru była jaskrawo, histerycznie wręcz czerwona suknia wieśniaczki zdobiącej tarczę zegara szafkowego. Trzymając na lewym biodrze kosz, do którego zbierała owoce żurawiny rosnącej na wrzosowisku, lewą ręką zadzierała niezdarnie spódnice, jakby tkanina drapała ją w łydki. Pastor nakręcał zegar co wieczór przed położeniem się na spoczynek. Słyszałam, jak to robi, ze swojej sypialenki przy schodach – pstrykanie przeciaganego łańcucha podobne do stukania paznokciem po zębach.

Rozwiązuję sznurówki uszytego własnoręcznie bawełnianego gorsetu i jak zawsze czuję się zaskoczona przyprawiającym mnie o popłoch wrażeniem, że moje ciało gwałtownie opada, jakby miało uderzyć o podłogę, gdybym go w porę nie złapała.

Przez moment stoję w absolutnym bezruchu, starając się ocenić, czy słyszę cokolwiek przez ściany. Mam niemal pewność, że słyszę dzwonki – te dzwonki, które rozbrzmiewały z wnętrza trumien ratunkowych na przykościelnym cmentarzu w Hopefernon.

– Dla pewności, że nikt nie zostanie pogrzebany żywcem – wyjaśnił mi pastor, kiedy zapytałam go o nie po raz pierwszy, dzieckiem będąc. – Można je wprawić w ruch wyłącznie ze środka trumny.

– Ale ja je słyszę nocami – odparłam, na co pastor tylko westchnął, aż mu się zatrzęsły policzki obsypane zmarszczkami tak głębokimi, że miały groble.

Jako mała dziewczynka wyobrażałam sobie, że wyrzezał je pastorowi jego ojciec i że sam pastor wyrzeza podobne w obliczu swojego syna. Ale pastor nie dochował się syna. Gwoli ścisłości, nie dochował się dziecka w ogóle, ponieważ przekonał moją matkę, aby przestała pragnąć latorośli. Podśluchałam jedną z ich rozmów, obserwując matkę w plasterkach pomiędzy zawiasami drzwi jadalni na plebanii.

– Nie wolno nam, nie wolno nam – powtarzała jak uczoną mantrę.

– Tobie nie wolno – poprawił ją pastor, tocząc ślinę, co działo się zawsze, ilekroć przepełniała go odraza.

– Nie wolno mi, nie wolno mi – zmieniała śpiewkę moja matka.

Podnoszę kołdrę i zaglądam pod spód (jako że moi dotychczasowi podopieczni lubili wkładać mi do łóżka żywe raki albo myszy, albo przy jednej okazji laleczkę zrobioną ewidentnie z ludzkich włosów; dzieci to swawolne stworzenia). Uspokojona, że w sypialni nie ma żadnych potworów z wyjątkiem tych, które noszę w sobie, wślizguję się do pościeli w samej koszuli nocnej i rozglądam się po wciąż dla mnie obcym pomieszczeniu. Żar strzela iskrami po raz

ostatni i gaśnie na amen. Mrużąc oczy, jestem przekonana, że w gęstniejących ciemnościach wypatrzyłam postać pastora, prostą i nieruchomą opodal komody. Ale to tylko mój nierozpakowany wciąż bagaż.

Przewracam się na bok, przestając wyteżać wzrok. Z adamaszkowej tapety przyzywa mnie do siebie jakaś kobieta.



HISTORIE WARTY OPOWIEDZENIA



#MOVAODOBRYCHKSIĄŻKACH



[WWW.MOVA.COM.PL](http://www.mova.com.pl)



[WYDAWNICTWO.MOVA](https://www.facebook.com/wydawnictwo.mova)



[WYDAWNICTWOMOVA](https://www.instagram.com/wydawnictwomova) ← ZAJRZYJ I BĄDŹ NA BIEŻĄCO!